

EUGENIA WACHOWSKA

ur. 1919; Lublin

Tytuł fragmentu relacji	Praca w szkole na Niecałej
Zakres terytorialny i czasowy	Lublin; dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin szkoła na Niecałej Niecała dzieci żydowskie Żydzi stosunki polsko-żydowskie

Praca w szkole na Niecałej

Chodziłam do szkoły, która mieściła się przy kościele katedralnym, tam było seminarium nauczycielskie i my na rysunki chodziłyśmy za Bramę Trynitarą i tam robiło się rysunki, bo były charakterystyczne domy. Po skończeniu seminarium nauczycielskiego, trudno było w Lublinie o jakąkolwiek posadę. Wtedy pani Maria Nowicka - kierowniczka szkoły żydowskiej, zaproponowała mi, żebym przyszła do niej na bezpłatną praktykę. Oczywiście zgodziłam się, bo taka praktyka była wtedy obowiązkowa. I poszłam tam do tej szkoły. Pracowałam tam do 31 sierpnia 1937 r. Szkoła, w której pracowałam, mieściła się przy ulicy Wyszyńskiego, obecnie Niecała nr 6. Najpierw były tam tylko dzieci żydowskie. Później Inspektorat kazał, żeby do tej szkoły chodziły nie tylko żydowskie dzieci, ale i polskie. Tak więc do klasy pierwszej i drugiej, jak ja tam poszłam do tej szkoły, już chodziły dzieci i polskie i żydowskie, mniej więcej po równo, w starszych klasach były tylko żydowskie dzieci. Dyrektorką szkoły była Polka i starała się, żeby byli polscy nauczyciele. Ja byłam Polką, stąd znalazłam się w tej szkole. Nauczyciele przemawiali do dzieci po polsku, i nie mówiło się w szkole językiem żydowskim. Lekcje religii były oddzielnie. Nie pamiętam dokładnie jak to było. Ja miałam młodszą klasę, uczyłam wszystkiego - polski, rachunki, wiadomości ogólne - o świecie, o tym, o tamtym, tak jak w tej chwili się uczy.

Na lekcjach to było nawet czasem i dowcipnie dlatego, że na przykład - było tak, że mówiłam do dzieci na rachunkach - bo to nie matematyka żadna, tylko rachunki, mówiłam tak: "kilogram cukru kosztuje 1 zł., kilogram soli kosztuje 50 gr. Ile trzeba razem zapłacić?" Na to podnosiła się w górę kupa rąk. "Proszę pani, ja chciałem co innego powiedzieć, ja chciałem powiedzieć, po co pani płaci za cukier po złoty, kiedy u nas w sklepiku jest cukier po 80 gr., to niech pani nie kupuje tam, gdzie po złoty, tylko u nas po 80 groszy, a my mamy sklepik na Lubartowskiej 17. To niech pani do nas po cukier przychodzi". O soli nic nie mówili, ale o cukrze - to kilka. "A ty co chciałeś powiedzieć?" "Ja chciałem to samo, tylko my mamy sklep nie na Lubartowskiej, tylko na Grodzkiej, ale u nas też jest po 80 groszy, nigdzie nie ma po złoty, komu pani płaci po złoty?!" No więc takie to były historie na lekcji. I to często tak było, jak się powiedziało nie taką cenę albo tam, że coś się dzieje na jakiejś ulicy, to oni zaraz poprawiali. Na przykład mówiłam: "Buciki kupiłam sobie na Krakowskim Przedmieściu" "Po co pani kupuje na Krakowskim Przedmieściu, jak tam tak drogo, u nas na Lubartowskiej są tańsze, ile pani zapłaciła za swoje pantofle?" No to

ja mówię: "Nie pamiętam", "Ale u nas na pewno takie pantofle złotówkę albo 50 groszy taniej by były." Taka była z nimi rozmowa. Albo na przykład była ta lekcja wiadomości o roślinach. Więc m.in. mówiło się o cebulach. Cebula to jest pąk. Miałam takiego znajomego pana, który mi rysunki przygotowywał, żeby to pokazać jednocześnie o czym się mówiło, a ja na tę lekcję o tych pąkach to wzięłam dużo cebul do klasy i rzędami na każdej ławce położyłam kawałek cebuli, żeby później ją dzielić na części, żeby było wiadomo, że to nie jest jedna rzecz, tylko że się składa z takich płatków. No i dobrze, rozłożyłam na czterech rzędach i przychodzę do stołu, no i mówię: "Teraz weźmiemy do ręki cebulę". A tu puste ławki. "A gdzie cebula?" "My już zjedli proszę pani, taka była dobra, że nie wytrzymał i zjedliśmy cebulę." No więc ja już nie krzyczałam na nich, bo wiedziałam, że smaczniejsza jest cebula zjedzona, co to pomoże jak będę krzyczeć, mówię: "Trzeba było nie zjadać. Zjedlibyście dopiero jak omówimy jak wygląda, a tak to musicie patrzeć na tę jedną, którą ja mam". O takich trochę było przygód.

W żydowskich klasach nauka nie odbywała się w sobotę. Był jeszcze taki kłopot, bo Żydom w soboty nie wolno było nawet palić w piecach, więc w pierwszej i drugiej klasie trzeba było, żeby ktoś przyszedł i w tym piecu napalił w zimie, bo trzeba, żeby było ciepło. W taki zwykły dzień palili Żydzi, a w sobotę musiał to robić ktoś inny, bo im nie wolno było w sobotę. Ale to tyle lat temu. Dzieci żydowskie były zwykle w ciemniejszych ubraniach, jakoś tak na ciemno i miały raczej długie kapoty, a nasze - spódniczka, bluzeczka. Dzieci polskie i żydowskie z zasady bawiły się razem. Nie było wyraźnych podziałów w klasach, w których uczyłam. Było normalnie, mówiły po polsku. Nie miałam dzieci, które mówiły tylko po żydowsku. To były dzieci z różnych rodzin. Sporo było inteligencji żydowskiej.

Data i miejsce nagrania	1998-10-10, Lublin
Rozmawiał/a	Marta Kubiszyn
Transkrypcja	Marta Kubiszyn
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"